

24.05.2014 \ Teatr Wielki, Poznań

Carmen z serialu

Stefan Drajewski \ Reżyser Denis Krief konsekwentnie odarł dzieło Georges'a

Bizeta z hiszpańskiego kolorytu. Zrezygnował z hiszpańskiego kostiumu, scenerii i nawet tak drobnych rekwizytów, jak kastaniety, zastępując je plastikowymi kubeczkami. Co zaproponował zamiast? Pustą przestrzeń sceny, współczesne kostiumy i Carmen jako seksbombę z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, blondynkę, która czasami chodzi w spodniach.

Co chciał powiedzieć swoim konceptem publiczności? Nic. Zresztą, nie bardzo wiem, na czym polega w poznańskim przedstawieniu nowoczesne ujęcie inscenizacyjne.

✓ Oglądamy jak najbardziej tradycyjnie opowiedzianą historię Carmen z tą tylko różnicą, że bohaterowie chodzą po scenie we współczesnych strojach. Nie tańczą również tradycyjnych tańców hiszpańskich, tylko klasyczne *pas*, choć nie wiadomo dlaczego choreograf Paul Julius nie posłużył się techniką tańca współczesnego. Byłoby to bardziej logiczne w połączeniu z kostiumami i scenografią. Poznańska Carmen nie gra na kastanietach, tylko – jak już wspomniałem – na dwóch plastikowych kubkach i to niezgodnie z rytmem. Nie rozumiem, dlaczego pracownice fabryki cygar wychodzą na plac z krzesłami i siadają na nich. Kompletnym nieporozumieniem jest scena z przemytnikami, którzy zostali ustawiani tak, aby przypominali samochód ciężarowy (takiego kiczu w operze jeszcze nie widziałem). A sam moment śmierci Carmen godny jest filmów kryminalnych klasy B.

Gdybym miał określić styl reżyserski Denisa Kriefa, nazwałbym go telewizyjnym, bo podzielił operę na sceny niczym stop klatki. Gdybym miał określić aktorstwo śpiewaków (wyjąwszy Romę Jakubowską-Handkę jako Micaële), użyłbym określenia – serialowe. A przecież muzyka Bizeta aż kipi prawdziwymi emocjami: jest słodka, jak słodka bywa miłość, jest drapieżna – też jak miłość. Ani na chwilę nie pozostawia słuchacza, widza, obojętnym. Serialowe aktorstwo odtwórcy głównych ról rekompensowali walorami głosowymi. Helena Zubanovich podobała mi się w wysokich rejestrach, ale w jej głosie brakowało mi głębi i ciemnej mezzosopranowej zmysłowości, którą pamiętam z wykonania tej roli chociażby przez Ewę Werkę czy Małgorzatę Walewską. Sang-Jun Lee i Mariusz Godlewski nie wyszli poza muzyczną poprawność. Najciekawszą, najbardziej prawdziwą postać sceniczną i wokalną zaprezentowała Roma Jakubowska-Handke. Słodycz jej głosu idealnie przystaje do roli prostej, niczym nieskażonej, wiejskiej dziewczyny.

W wypowiedziach prasowych i programie do spektaklu reżyser mówił o sobie, że jest muzykiem. Trudno w to uwierzyć, bo gdyby wsłuchał się w to, co skomponował Bizet, nie dopuściłby do sytuacji, że śpiewacy nie przekazują swoimi głosami emocji i namiętności, które są tak wyraźnie zapisane w muzyce. Na szczęście Bassem Akiki w warstwie orkiestrowej eksponował właśnie zmysłowość i wszelkie odcienie dramatu miłosnego. Dyrygował z temperamentem, ale kiedy trzeba było, potrafił się powstrzymać, pozwalając wybrzmieć muzyce w bardziej romantycznych momentach.